# TYGODNIK LWOWSKI

| Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“ | | | Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową: | |
|---|---|---|---|---|
| rocznie | 6 złr. — ct. | Nr. 5. | rocznie | 7 złr. — ct. |
| półrocznie | 3 „ — „ | | półrocznie | 3 „ 50 „ |
| ćwierćrocznie | 1 „ 50 „ | 10. Listopada 1867. | ćwierćrocznie | 1 „ 80 „ |
| Zeszyt miesięczny | — „ 60 „ | | W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz. | 1 tal. 15 sgr. |
| Pojedynczy numer | — „ 20 „ | | We Francji ćwierćrocznie | 6 franków. |




Morskie oko.

## Morskie oko.

Karpaty mają coś uroczego w sobie; tu niebotyczne góry okryte wiecznym śniegiem, tam skały rozmaite przedstawiające kształty, tu jeziora niemal na gór szczytach, to wszystko w podziw wprawia podróżnego.

Gdym niedawno zwiedzał karpaty, znalazłem się naraz wśród pustyni skał, w całem znaczeniu tego wyrazu. Mógłbym wyliczyć przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku; pięć jezior — nad jednym z nich stałem, gdzieniegdzie nad wodą zarośla, miejscami nieco mchu, kilka żółtych kwiatków, reszta kamień.

Po lewej ręce patrząc w południe, dwa mniejsze jeziorka, jedno za drugiem, po prawej trzecie, a na znacznej wyżynie czwarte, wszystkie zaś związane wązkiemi strumykami. Kamienny szałas nad jeziorem najwyższem, cisza grobowa tego ustronia, echo potoku krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto mały zarys tego miejsca.

Rozglądnąwszy się w okolicy Pięciu stawów, ruszyłem ku Morskiemu oku. Najbliższe przejście prowadzi przez górę Mnich zwaną. W czasie tej przeprawy miałem pod nogami przepaście, nad któremi orły krążyły, a gdym doścignął grzbietu Świstowej góry, ujrzałem w ogromnej podemną głębi Morskie oko. Jest to jedno z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza i podziwia.

Morskie oko ma swoją niepospolitą, sobie tylko właściwą piękność; jest to wielka masa wody, zamknięta w okrągłem jeziorze, którego powierzchnia 70 morgów zajmuje. Głębia tego jeziora w pe-

wnej odległości od brzegów, jest niezmierzona; ztąd też powstaje mniemanie, że łączy się z morzem i że woda onego z morza pochodzi. Na środku morskiego oka, jest wir wielki. Często dają się tu spostrzegać ryby nieznanego rodzaju; powiadał mi wiarogodny góral i miał na to świadków, że roku zeszłego ukazała się niedaleko brzegu ryba, z głową nad wodę podniesioną, do kociej podobną. — Utrzymują nawet górale, że przed laty kilkunastu, jakaś nieznana ryba porywała im pijące owce, a szczególniej czarne, dopiero gdy się na nią zasadzili i kilka razy dali do niej ze strzelby ognia, odtąd się nie pokazała.

Okolica Morskiego oka odznacza się dwoma godnemi widzenia przedmiotami; pierwszym jest jezioro, zwane Czarny Staw, z którego woda wylewa się w potok i niby wodospad, wpływa do Morskiego Oka; drugim jest góra skalista Mnich zwana, mająca podobieństwo do siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem.

Ciekawym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza to, które powstaje z wystrzału ręcznej broni. Echo to trwa kilka minut, niby grzmot największy i obięga do koła jezioro, a w chwili, gdy głuchnie w jednem miejscu, odzywa się w drugiem z tem większą siłą. — Strzałami też na środku jeziora zakończyłem tę wycieczkę, która tylko w części odsłoniła mi wdzięki tych gór.

## Leszek Dunin Borkowski.

### II.

W dramacie, który się rozpoczął dla Austrji z r. 1848, odegrał Leszek Borkowski niepoślednią rolę.

Rok 1848 był pierwszym aktem, w którym Austrja wyszła jako zwycięzca nad rewolucją. Rok 1859 był drugim, gdzie się los przechylił na niekorzyść bohaterki dramatu. Rok 1866 jest trzecim aktem katastrofy. Będzie jeszcze niezawodnie przynajmniej jeden akt, bo dramat nie skończony. Jaki będzie? jak się cały dramat zakończy? Wnioskowanie i rozprawianie o tem, nie jest tu na miejscu. Dosyć, że każdy z tych aktów powołał był i naszą krainę na widownię i w każdym miał Leszek swój udział.

Stał on zawsze w opozycji z polityką ministerjów, bo ministerja stały w opozycji z pomyślnością kraju. Leszek prowadził swoją walkę zawsze tylko parlamentarnie, a dopiero w tym roku uczuł potrzebę wystąpienia na drodze publicystyki.

W sposobie walczenia był on oryginalnym tak, że nieraz nawet ludzie, podzielający jego przekonania, nie od razu spostrzegali minę, którą pod przeciwników podsadził. Jeszcze w r. 1848 były dwie takie oryginalne miny.

Kiedy reakcja stłumiła ruch postępowy we Włoszech austrjackich, umiano opinję publiczną tak jeszcze wodzić na pasku, że na sejmie austrjackim wniesiono: n a d a n i e  o s o b n e j  o d z n a k i  d l a  w s z y s t k i c h  ż o ł n i e r z y, i  o c h o t n i k ó w, k t ó r z y  b r a l i  u d z i a ł  w  p o g n ę b i e n i u  W ł o c h ó w. Liberalny sejm austrjacki chciał wynagrodzić uczestników rzezi w Brescji i t. p. Nierozumieli wtedy najliberalniejsi Austrjacy, że popierając rząd w ciemiężeniu innego narodu, kręcą bicz na siebie, tak jak tego nierozumieją dziś Moskale i Niemcy. Polacy jedni pojmowali tę sprawę, mając doświadczenie na sobie. Ale kwestja istnienia i całości monarchji była wysunięta naprzód. Jakże tu mówić p r z e c i w k o  t e m u? Zdrada Austrji. Więc Leszek zapisał się między mowców, p o p i e r a j ą c y c h  w n i o s e k. Przeciwko wnioskowi walczono słabo, chciano rzecz odroczyć, ale nikt nie śmiał uderzyć w sam rdzeń rzeczy. Leszek mówi za tem! Zdumiewali się liberalni, a najwięcej Polacy. Leszek wystąpił i przemówił w tej myśli: „Mówię za wnioskiem, bom się zapisał między mowców, popierających wniosek. Popieram go, bo wiem, że jakbym przeciwko niemu przemawiał, oburzę na siebie większość sejmu. Ale gdy już za wnioskiem przemawiam, zwracam Waszą uwagę na to, że w konsekwencji należy jeszcze jedną nagrodę uchwalić, oprócz tej za stłumienie ruchu rewolucyjnego we Włoszech. — Przeciwko Włochom walczyło to samo wojsko, ciż sami żołnierze, stają przeciwko Wiedniowi i nam samym. Zasługi tych bohaterów będą te same, co owych we Włoszech. Jeżeli więc wynagradzamy jednych, to sprawiedliwość wymaga, abyśmy i drugich wynagrodzili i ja oświadczam, że będę głosował za odznaczeniem armji włoskiej tylko pod tym warunkiem, że taką samą odznakę uchwalicie dla tych, co uderzą na nas i zajmą Wiedeń.“

Po takiem rozumowaniu spostrzegli dopiero Niemcy, jaką niedorzeczność popełniają, a wniosek ów serwilistyczny upadł jedynie przez to, że go Leszek popierał.

Podobnie znalazł się Leszek, gdy chodziło o zaciągnięcie pożyczki, na które ministerjum chciało mieć zezwolenie sejmu. Leszek przedstawił w swej mowie przyszłego ministra i przyszły sejm i krytykę całą, jakiej ten poddałby postępowanie rządu i sejmu ówczesnego. Kładąc w usta przyszłego ministra tę krytykę, karcił tak ostro obecne postępowanie, że nie tylko ministrowie, ale i posłowie się oburzali, wtedy uspakajał ich Leszek zawsze tą jedną refleksją: „Panowie, to nie ja mówię tylko przyszły minister.“

Nie był zapewne Leszek osobistością miłą dla Niemców i Czechów, ale imponował im. Wtedy otaczał wszystkich Polaków w sejmie urok, który dziś zupełnie zatracili, ale musiał między niemi Leszek mieć jakieś szczególne zaufanie, skoro go wysłali wraz z kilkoma innemi w deputacji za uciekającym z Wiednia cesarzem Ferdynandem. Deputacja dognała cesarza i rozpoczęto z nią rokowania. Wśród tych rokowań, ofiarowano Leszkowi tekę ministerstwa oświecenia. Leszek nie chciał o tem mówić, póki cesarz nie wróci do Wiednia, a Windiszgrec się nie cofnie. Odtąd nie mówiono z nim już o tece ministerjalnej. Thinfeld, który także należał do tej deputacji, ale znać takich warunków nie stawiał jak Leszek, był potem w zbombardowanym Wiedniu ministrem rolnictwa.

Wspominaliśmy już, że po roku 1848 bawił Leszek jakiś czas za granicą. Później wrócił do kraju i mieszkał w zaciszu. Dopiero szmerlingowska konstytucja i wybory do pierwszego sejmu galicyjskiego, wywołały Leszka znowu na pole działania. Był to skutek owego drugiego aktu w dramacie austrjackim, a sejm galicyjski jedną ze scen mniej powabnych tego aktu. Zostaliśmy po pierwszy raz powołani do czynności konstytucyjnej. Pierwszy to wybierany sejm krajowy nie „postulatowy,“ a jednak był on wielce podobnym do postulatowych, bo okazał prawie taki sam brak niezależności, jak tamte. Nadała mu tę cechę po części szmerlingowska ustawa, po części zaś dobrowolna potulność sejmu.

Leszek został wybrany znowu posłem z miasta Lwowa. Byłoby to świadectwem bardzo niekorzystnem dla miasta, gdyby po takiej przeszłości zapomniało było o Leszku. Będąc wskazanym jako kandydat wystąpił on z wyjawieniem swojej wiary politycznej. Ta wiara była niewiarą w konstytucyjność szmerlingowską. Jeden Leszek miał odwagę tak otwarcie i jasno wypowiedzieć, że Szmerling nie będzie czem innem niż dawni ministrowie austrjaccy, że nawet prokuratorja miała ochotę proces mu wytoczyć. Ale przecież poszanowano parlamentarną wolność słowa. Dywinacja polityczna Leszka okazała się tu świetnie. Wtedy już uważali nawet nasi jednodniowi liberałowie Leszka mowę za zbyt jaskrawą. A jednak okazało się, że istotnie sejm pozostał „przy naprawianiu dziurawych mostów i zakładaniu domów obłąkanych“ i to tylko w projektach, a nie w czynach.

Leszek rozwiódł się głównie nad tem wtedy, czego się możemy spodziewać po rządzie i ostrzegał przed sangwinicznem oddawaniem się złudnym nadziejom, przed łatwowiernem ufaniem słówkom słodkim Szmerlinga i spółki.

Nie długo trzeba było czekać na sprawdzenie przewidywań Leszkowych.

Stało się jeszcze więcej niż Leszek przepowiedział. Stało się, czego nie powiemy, żeby nie przewidywał, ale czego może nie chciał wróżyć. Oto, że sejm sam dobrowolnie przywdziewał sukienkę dawnych postulatowych. Urodził się wydział podobny jak dwie krople wody do swego tatusia „s t a n o w e g o.“ Urodziło się kilka najuniżeńszych przedłożeń, z których nie wiemy już wiele Najjaśniejszy Pan raczył zatwierdzić, ale wiemy, że wiele Jego Exc. p. minister raczył nieprzedłożyć do sankcji.

Podczas sześciolecia sejmowego odzywał się Leszek w każdej ważniejszej sprawie. Nastręczyła mu się sposobność ku temu najczęściej w trzeciej kadencji sejmu. Pierwsza kadencja była zwołaną, aby wybrać posłów do Rady państwa. Leszek był temu przeciwny. Sejm

wybrał posłów i postąpiono ze sejmem jak z owym murzynem: gdy zrobił swoje, kazano mu się rozejść.

Druga kadencja była bez znaczenia. Wybuch powstania był pretekstem zawieszenia tej kadencji, co dla wielu posłów było bardzo pożądanem — bo nie potrzebowali występować z barwą — dla rządu ówczesnego niezawodnie także pożądanem, bo nie potrzebował słuchać przykrych słów, prawdy, jakieby zapewne był usłyszał od posłów, jak Leszek i t. p.

Trzecia kadencja zwołana po upadku powstania i nadaniu amnestji weszła od samego początku na tory, przypominające sejmy postulatowe. Pochlebiali sobie nawzajem: rząd i sejm, ale więcej sejm rządowi niż tenże sejmowi. Nie potrzebujemy podnosić, że Leszek nie brał w tych pochlebstwach udziału. Zaraz w początkach przy rozprawach nad regulaminem przemawiał Leszek za jasnem i stanowczem orzeczeniem, jaki ma być język sejmowy, przemawiał przeciw półśrodkowemu wymijaniu tej kwestji i za przyjęciem wyłącznie języka polskiego, jako naukowego języka Słowian, zamieszkujących ziemie polskie. Podał on w tym celu osobny wniosek do sejmu. Jaki był los tego wniosku, to wiadomo.

Kadencja sejmowa skończyła się w przededniu zagrażającej Austrji katastrofy, w przededniu trzeciego aktu wielkiego dramatu. Wielka klęska zmieniła usposobienie rządu, ależ zmieniła wielce i usposobienie kraju. Po amnestji była większość sejmowa uległą rządowi, jakoby ujęta wdzięcznością dla niego z jednej, a zostająca pod wpływem prądów reakcyjnych z drugiej strony, jakie zawsze wieją po upadku rewolucji. Po klęsce rządu zaś, gdy tenże szukał oparcia u narodów, stała się ta sama większość jeszcze mniej niezależną niż tego zakłopotany rząd sam wymagał. Musiała więc teraz bardziej niż kiedy odbijać niezależność Leszka. Stał on teraz w opozycji i był prawie sam jeden opozycją przeciwko większości sejmowej, a ponieważ ta większość była więcej niż rządową, toż nie dziwna, że usiłowano go wystawić jako człowieka wielce niebezpiecznego dla rządu, kraju i narodu. Udało się na chwilę nawet tak dalece zamącić umysły, że opinja kraju zdawała się przez chwilę być przeciwną Leszkowi. Jednak nie popadła opinja w stateczny obłęd. Nie długiego było potrzeba czasu, a wszystko co Leszek przepowiedział, sprawdziło się. Reakcja nastąpiła. Coż Leszek zapowiedział? Oto słuchajmy własnych słów jego. Mówiąc o przyszłej wówczas, a teraz już dogorywającej Radzie państwa tak się wyraził:

„chodzić tam będzie o nowe zobowiązania, chodzić będzie o to, „aby *de facto* objawił się pewien kształt państwowy, z któregoby „można następnie ciągnąć wnioski *de jure*. A jakiżto będzie ten „kształt państwowy? Oto Węgry będą miały odrębność, a inne pro„wincje zostanąześrodkowane pod dawno znanem nazwiskiem pro„wincji niemiecko-słowiańskich. Dualizm taki, przypominający system „Metternicha, z niejakim konstytucyjnym pokostem, będzie tymcza„czasowym ustrojem państwa austrjackiego, i w tem to właśnie upa„truję znamiona polityki restauracyjno-eklektycznej; a polityka taka „może wprawdzie z danych okoliczności korzystać, ale każde wielkie „poczęcie uważa za awanturnictwo.“

Polityka ta jest dziś w najpełniejszym kwiecie.

„Wysyłać delegację dla tego, mówił on dalej, ażeby w razie nie„powodzenia zaprotestowała energicznie i zbiegła, byłoby politycznem „dzieciń
stwem, byłoby niesłychaną śmiesznością.“

Czyż nie stoi dziś nasza delegacja na tym punkcie.

To wystarcza, sądzimy, aby okazać, że Leszek jest mężem politycznym. Nie można bowiem tej nazwy odmówić człowiekowi, który z taką dokładnością przepowiada swoim politycznym przeciwnikom wszystkie błędy, jakie popełnią. Leszek nie ma dziś w koło siebie zorganizowanego stronnictwa politycznego, ale posiada warunki po temu, aby je utworzyć z ludzi, podzielających jego przekonania. Nie przewidujemy wprawdzie, ażeby się to w teraźniejszych okolicznościach dało uskutecznić, ale dotychczasowa przeszłość jego pozwala rokować, że jeszcze odegra ważną rolę w naszem życiu politycznem.

Spodziewać się wszakże należy, że działalność polityczna nie przeszkodzi mu pracować dalej na polu piśmiennictwa, tem bardziej, że ile nam wiadomo posiada on w rękopiśmie prace, w części już wykończone, których ogłoszenie mogłoby zbogacić naszą literaturę.

Do pism ogłoszonych, których nie wymieniliśmy, należą poemata: Kozak, Orły z Herburtów i znakomite w swoim rodzaju (a tak mało znane) Wieszczenia Lechowe.

*K. Widman.*

# Szkic z życia społecznego.

(Dokończenie).

Milczenie głębokie zaległo pokój; panna Izydora błądziła lewą ręką bezmyślnie po klawiszach, baronowa ściskała namiętnie Edzia, baron z miłością i zadowoleniem patrzał na żonę i synka, p. Palik telegrafował z p. Izydorą, ja rozmyślałem o owym uśmiechu obydwóch pań, który mi tyle narobił kłopotu. Chcąc przerwać milczenie zbliżyłem się do stolika, gdzie jak mi się zdawało leżały jakieś gazety. Istotnie był to jakiś odwieczny dziennik, użyty do zawinięcia kobiecego manuskryptu. Chciałem go już odłożyć na bok, gdy obie panie parsknęły głośnym śmiechem, to mnie rozciekawiło — otwieram: Baba tiulowa, dalej: Mazurek migdałowy, Pączki parzone i tym podobne przysmaki. Zrozumiałem śmiech pań i postanowiłem się zemścić.

— Szukałeś zapewne gazet? — zapytał baron.

— Tak jest!

— A znalazłeś pan przepisy na ciasta! — śmiała się p. Izydora.

— Nie trzymasz pan gazet? — zapytałem barona.

Zakłopotany nieborak szukał odpowiedzi, gdy go zręczna małżonka dyplomatyczną wyratowała interwencją.

— Ja mężowi odradziłam prenumerować „*tych kłamstw i banialuków;*“ trudnić się literaturą jest to żyć bez celu i być ciężarem ludzkości, my mamy dzieci — dodała, patrząc na tłustego Edzia, który usiłował właśnie dostać się na stół, gdzie stała piękna porcelanowa lampa.

— Literatura jest dźwignią oświaty pani Dobrodziejko! — ratowałem się.

— Że też to panowie zawsze musicie wyjeżdżać z czczemi deklamacjami — na co nam oświaty, jeżeli chleba nie mamy, na co uczonych, jeżeli ich prace butwieją na półkach księgarskich, bo kraj nie ma za co kupować dzieł drogich? — odparła baronowa.

— Nie przeczę, że i byt materjalny uwzględnić potrzeba, ależ nie przestanę nigdy bronić zasady, że podstawą dobrobytu jest oświata ludu.

— Oświata ludu! — machnęła pogardliwie ręką p. baronowa — chłopomanja, mrzonki — oświecaj pan ten lud, jeżeli on oświatę odpycha od siebie.

— Moja żona ma słuszność! — dorzucił baron, ot tu w Piotrówce chciałem, żeby stanęła szkoła, i cóż? ofiarowałem nawet jednego dęba na budynek, myślisz, że wybudowali? dąb leży do tego czasu ścięty, a na szkołę nawet fundamentów nie ma i jeszcze chłopi w karczmie sarkają na mnie, utrzymując, że dałem mało.

Nawiasem dodać tu muszę, że baron miał majątek czysty, niosący rocznie 5—6.000 zlr. czystego dochodu.

— I niechże pan z takimi ludźmi co poradzi — prawiła baronowa zgorszona. Dorcia chciała tu założyć szkółkę dziewcząt, myślisz pan, że chciała która przyjść? pierwszej niedzieli przyszło trzy, drugiej dwie, a na trzecią żadna.

Jako bliski sąsiad byłem o historji tej szkółki dobrze poinformowany; rzecz miała się tak: p. Ignacy chłopak poczciwy, jak to mówią z kościami, patrjota, jak go nazywano w okolicy zapalony, demagog i demokrata okrzyczany, ale posiadający przytem dwie piękne wioski, zakochał się w pannie Izydorze, a zakochał się nie żartem. Chcąc się przypodobać swemu przyszłemu i zawrócić mu głowę do reszty, panna zaczęła się bawić w patrjotyzm: nosiła krzyże, żałobę, śpiewała „Boże coś Polskę,“ „Z dymem pożarów,“ czytywała gazety, skubała szarpie, a nawet — zgroza mnie przejmuję gdy to piszę, — lać miała kule po nocy. Do tego wszystkiego brakowało jeszcze szkółki, założyć ją trzeba było koniecznie, Ignaś tak pięknie

rozprawiał o oświacie ludu, takie wzorowe u siebie pozakładał szkółki, jakżeż tu było pozostać na uboczu i nie uderzyć jeszcze w tę słabą stronę lubego, aby okupacja serca jego a szczególnie obydwóch wiosek stała się trwałą i pewną? Owoż panna Izydora wzięła się gorliwie do dzieła; wmówiła w siostrę baronową i wytłumaczyła Makaremu, że to się zgadza z duchem czasu, że nie można się opierać prądowi, unoszącemu wszystkich i wszystko ze sobą, że nakoniec moda tak każe, a przedewszystkiem jej szczęście i los przyszły, słowem wytłumaczyła mu tak jasno potrzebę założenia szkółki w Piotrówce, że biedny baron uwierzył w nią na prawdę. W owe to czasy przypada owe historyczne darowanie jednego dęba na wybudowanie szkółki, które w oczach barona przybrało postać poświęcenia, w nagrodę którego spodziewał się posągu z napisem: *Pater patriae.* Dumnym był też baron z tego kroku niezmiernie, przyjeżdżających do siebie w odwiedziny wyprowadzał zwykle na ganek, zkąd widać było miejsce przeznaczone na wybudowanie szkoły, i dąb ów nieszczęśliwy z baronowskich lasów, a puszczając z upodobaniem niebieski dymek z 6cio krajcarowego kabanosa mówił poważnie:

— Ot panie Dobrodzieju, robi się co może choć czasy ciężkie — buduję szkołę u siebie,— tu wskazywał ręką na próżne miejsce; materjał już pozwożony, a robotnika trudno się doprosić. Oj lud ten nasz, lud, długo pracować trzeba nad nim, zanim przyjdzie do poznania, że szlachta, tu uderzał się z dumą tłustą ręką po piersiach, pragnie jego dobra, a nie zguby.

Utraktowany dobrem cygarem i herbatką sąsiad trąbił nazajutrz po całej okolicy o wspaniałomyślności i patrjotyzmie barona. Nie dziw więc, że gdy jęk mordowanych za Wisłą braci obudził Galicję, barona jednogłośnie cała okolica swoim obrała zastępcą, poruczając mu wspieranie powstania w sposób, jaki uzna za najlepszy. Ale wróćmy do p. Izydory. Z zakładać się mającą szkółką dziewcząt były niemałe trudności: dotąd każde zetknięcie się bliższe z ludem wprawiało „delikatne dziecię,“ jak się wyrażała czule baronowa, w stan anormalny — dostawała bolu głowy, kataru, a czasami nawet spazmów. Teraz jednak miłość przemogła wszystko. Sprowadzono dziewczęta i nauka się rozpoczęła. Pierwsza lekcja poszła jeszcze jako tako, chociaż biedne dzieci połowy wykładu nie zrozumiały. Druga niedziela została przerwaną słabością p. Izydory, trzecia przeszła bez wykładu, gdyż panienka pojechała na bal do Prosny, na czwartą znudzone znów dzieci nie przyszły, p. Izydora rozchorowała się ze zmartwienia, a gdy wkrótce potem p. Ignacy na odgłos dział pospieszył za Wisłę, uznała za pożyteczniejsze zaprzestać niewiodącej do niczego chłopomanji i szukać pociechy po utracie miłego w wdziękach, a szczególniej w kieszeni hr. P., majora od huzarów. Na ucho szeptano sąsiadom, że p. Izydora poświęca się dla ojczyzny, kaptując dla sprawy narodowej dowódzcę okolicznej załogi, który dotychczas był wrogiem powstania.

Panna Izydora na wzmiankę o nieudałych usiłowaniach, zarumieniła się skromnie, a spuściwszy główkę, zagrała jakąś radawaszkę huczną, snać na przygłuszenie budzącego się sumienia, ja zaś czując, że rozmowa się urywa, odezwałem się czemprędzej, przerywając ogólne milczenie.

— Bez wątpienia, że usiłowania takie, świadczące chwalebnie o gorącym patrjotyzmie obywateli, natrafiają na mnogie ze strony zrażonego dotychczas ludu przeszkody, jednak obowiązkiem naszym, jako klasy oświeceńszej w narodzie jest, iść naprzód, choć przeciwności starają się cofnąć nas wstecz. Usiłowania poparte szczerą chęcią oświecenia ludu, doprowadzają najczęściej do celu. Nie dosyć jest tu, o ile mi się zdaje, małoznaczącym materjalnym datkiem, ale trzeba kwestję oświaty podnieść w oczach ludu zajęciem się nią osobistem. Przyjaźny stosunek do nauczyciela, którego się powinno podnosić i ukształcać moralnie, bywanie podczas godzin naukowych w szkole, rozdawanie nagród pilnym uczniom, a szczególniej urządzenie biblioteczki szkolnej i prenumerowanie pisemek ludowych, oto są podług mnie drogi, któremi się pozyskuje zaufanie ludu i zachęca go się do nauki.

— Ach! prenumerowanie pism ludowych — zawołała baronowa — pokaż mi pan choć jedno pisemko, któreby odpowiadało potrzebom naszego ludu? „Dzwonek“ może?

— Nie odpowiada może tak jak powinien, ale zawsze lepiej coś niż nic — ciągnąłem upornie.

— Już to przyznam się panu — w końcu odpowiedziała baronowa — że na takie lichoty szkoda pieniędzy, zwłaszcza, jeżeli ktoś może ich użyć lepiej, mając liczne obowiązki. Podług mnie, rodzina i kółko domowe jest pierwsze, aniżeli te wszystkie idylle życia, piękne na papierze, nie znaczące i nudne w rzeczywistości.

— I ja byłabym tego zdania — odezwała się p. Izydora — literatura dobrą w ogóle jest dla rozrywki, zajęcie się ludem o tyle, o ile niepospolituje nas i nienaraża na szwank naszego stanowiska, lub nie żąda nadzwyczajnych ofiar materjalnych, nie byłoby nic złego, gdyby nie wiązano doń zaraz jakichś szczególniejszych obowiązków, jak przyjmowania u siebie nauczyciela, kształcenia go i t. p.

— Jedno nie da się pomyśleć bez drugiego — odparłem — bez ofiar rzadko kiedy osiąga się cel zamierzony.

— Ach, tylko nic o ofiarach — ozwał się p. Palik, ofiara to już poświęcenie, a poświęcenie, to egzaltacja, to niemal kłamstwo.

Panna Izydora wpatrzała się w młodego mowcę, jak w tęczę, pani baronowa promieniła się z radości.

— Jak to pan rozumiesz? — zapytałem.

— Wytłumaczę się zaraz. — Cisza zaległa salon, nawet Edzio przestał szturkać warczącego mopsa..

— Nikt nie czyni nic, jak tylko z dobrze zrozumianego interesu własnego, każdy czyn więc ludzki, jakkolwiek szlachetny na pozór, nie jest niczem innem, jak tylko zadowoleniem siebie samego, gdzież tu poświęcenie?

— A czemżesz pan nazwiesz śmierć za ojczyznę? gdy człowiek pragnąc przedewszystkiem zadowolenia, a tem samem dobra swego, nie może przecież chcieć śmierci, która jest zniszczeniem jego — odrzekłem powolnie.

— To szaleństwo chwilowe, krzyknął zaperzony mowca, to stan chorobliwy.

— Więc poświęcenie to szaleństwo — zakonkludowałem.

— A już też przyznam ci się — wycedził baron, że poświęcenia nierozumię wcale. Najlepiej służy się krajowi, podnosząc byt jego materjalny. Mrzonki o niepodległości i tym podobne absurda to szały, z których się leczą nawet ludzie młodzi, poczynający z chlubą swoją karjerę obywatelską; tu spojrzał znacząco na Palika zajętego właśnie gorącą jakąś rozprawą o muzyce z p. baronową.

Zaledwiem mógł trochę ochłonąć po słowach barona, gdy zaczęła p. Izydora.

— Mrzonki te są tem gorsze, że ograniczają się zwykle na tak zwanym pseudopatrjotyzmie, czyli inaczej powiedziawszy na noszeniu butów fałdowanych, rogatywek, pasów i t. p. odznak dobrych dla sceny, lecz niepraktycznych w życiu. Uśmiechając się zaś złośliwie, dodała: Niemówię tego do pana, ale w ogóle do ludzi, którzy patrjotyzm zasadzają na ostentacji.

Zkonfundowany tem powiedzeniem do reszty, starałem się właśnie zebrać rozbite myśli, by odpowiedzieć na popierane przez barona i p. Izydorę zasady podług mego zapatrywania się, gdy na dziedzińcu rozległ się trzask z bicza, a po chwili Paweł zaanonsował p. Rościsława.

Nowo przybyły był to człowiek niemłody, wzrostu niskiego, gruby, z ostrzyżonymi krótko siwemi wąsami, z czupryną naczesaną na czoło i dobrodusznym wyrazem na twarzy.

Przed kilkunastoma laty adwokat w stolicy uzbierał znaczny majątek, a kupiwszy wieś piękną na licytacji za bezcen i zamieszkawszy w niej, prowadził życie spokojne zdala od trosk i zgiełku światowego — jak się sam wyrażał.

— A Pana Dobrodzieja — zawołała pani baronowa, zrywając się z kanapy i podbiegając kilka kroków na przywitanie — ledwie się można doczekać. Dziś przez dzień cały obie z Dorcią wyglądałyśmy Pana.

— Nie można było Pani Dobrodziejko — odparł z słodkim uśmiechem p. Rościsław, podając otaczającym go paniom obie ręce na przywitanie. — Zresztą jak widzę, państwo Dobrodziejstwo macie gości. — Pan Pankracy, a jak się pan miewa! — i podał mi okrągłe swe palce.

Barona kochanego witam, i splotły się ramiona obydwóch, a głośne pocałunki świadczyły o serdecznem przywitaniu. Panna Izydora

rozmawiała tymczasem z panem Palikiem, snać o botanice, bo spoglądała ciągle na różę zapiętą u gorsu, a uwolniwszy ją z więzów, oddała młodemu mężczyźnie, który ją coprędzej ukrył przed okiem ciekawego towarzystwa. Nie uszło to oka baronowej, a przechodząc koło siostry, szepnęła półgłosem tak, że ja stojąc obok przy fortepianie, doskonale słyszeć mogłem:

— Kompromitujesz się Doreńko, a Rościsław patrzy.

Nagle spostrzegłszy mnie obok, zmieniła wyraz twarzy, a uśmiechając się kwaśno, zawołała:

— A pan tu?

— Tak, pani Dobrodziejko — odrzekłem — czekałem na chwilę, aby Panią módz pożegnać.

— Tak prędko?

— Zajęcia oczekują mnie w domu.

Kilka minut później wyjeżdżałem z bram piotrowieckiego dworu, za mną złośliwem okiem patrzała panna Izydora, koło niej stał Rościsław; pieszcząc z upodobaniem białą jej rączkę.

*Pankracy Niewiadomski.*

## Pułkownik
## Dyzma Czachowski.

Dyzma Czachowski pomiędzy wydatniejszemi osobistościami w historji powstania r. 1863, zajmuje takie stanowisko, że dla samego rozgłosu imienia tego dowódzcy, uważamy za stosowne, jako w czwartą rocznicę jego skonu, na dniu 6. Listopada r. b. przypadającą, poświęcić kilka słów wspomnieniom jego i oddziałów pod jego dowództwem pozostających a sformowanych na tej tu ziemi.

Czachowski pochodził z rodziny szlacheckiej od kilku wieków osiadłej na Rusi. Członkowie tej rodziny odznaczali się zawsze rączą gotowością do służenia sprawie narodowej, a imiona Czachowskich, walczących to pod znakami pancernemi za Sobieskiego i Batorego, to w konfederacji barskiej nie raz spotykamy.

Dyzma Czachowski w roku 1831 służył w kawalerji ochotniczej w stopniu porucznika i już wówczas odznaczył się odwagą i przytomnością umysłu w licznych utarczkach z kozakami i regularną kawalerją moskiewską. Po upadku powstania powrócił na rodzinne Podole, a następnie osiadł w województwie Sandomierskiem, gdzie posiadał piękny i intratny majątek ziemski. Na parę lat przed wybuchem powstania wyposażywszy dorosłe już dzieci, trzymał dzierżawę w powiecie radomskim, a jak wszystka szlachta ruska, zamiłowany do strzelby i konia słynął jako najlepszy myśliwy i dzielny jeździec. Za młodych lat swoich zakosztowawszy hulaszczego życia bałagułów ówczesnych i podczas wybuchu lubo już w dość podeszłym wieku, zachował jednak młodzieńczą fantazję, a zawsze żwaw, wesół i towarzyski, był lubiony powszechnie.



Śmierć pułkownika Czachowskiego. (Rysował A. Grottger).

Jak każdy bałaguła mając wstręt do książki, nie wdawał się i p. Dyzma w żadne kombinacje wyższej polityki, ani nie miał pretensji do badania tajemnic Komitetu Centralnego w Warszawie. W pierwszych dniach miesiąca Styeznia r. 1863 powracając ze strzelbą na ramieniu z polowania, dowiedział się na drodze, że wybuch powstania już naznaczony, i że powstańcy gromadzą się na św. Krzyżu pod naczelnictwem Prędowskiego. Po co? nie potrzebował pytać. Bić Moskali, to dosyć dla niego. Pospieszył do domu, zabrał dwóch dorosłych synów, starczyście nabić kazał flinty, do-

siedli podjezdków i hajże na Moskali! Na szczęście czy nieszczęście trzej nasi rycerze po drodze Moskali nie znaleźli, przybyli na św. Krzyż szczęśliwie i już nazajutrz Dyzma Czachowski mianowany kapitanem przez naczelnika Prędowskiego, energicznie szykował kompanją w ⅓ ze strzelców, w ⅓ z kosynierów, a w połowie z palkinierów złożoną, a zwerbowaną z małomieszczan i chłopków sandomierskich. Langiewicz objąwszy komendę sił woj. Sand., uznając sprężystość i karne prowadzenie służby obozowej, mianował Czachowskiego majorem i dowódzcą batąljonu już nieco lepiej uzbrojonego, następnie zaś za odznaczenie się w bitwach pod Staszowem, Małogoszczą, Skałą i t. p. został przez jenerała Wysockiego naówczas dowódzcę lewego brzegu Wisły mianowany podpułkownikiem, i już w Goszczy znajdujemy go jako dowódzcę pułku nieźle uzbrojonego. Henryka Pustowojtów była początkowo jego, a nie Langiewicza adjutantem, i do bitwy grochowiskiej pozostając zawsze przy jego pułku, udawała się na spoczynek do kwatery lub namiotu starego Czachowskiego, w którym znajdował się tylko kapelan pułkowy.

Siwe włosy i powaga starca zasłaniały ją od płochych żarcików młokosów, a z Czachowskim żartować nie było nader bezpiecznie. Osobista odwaga pułkownika i brawura żołnierska zjednywały mu serca podwładnych, a oficerowie podkomendni z armji regularnej chociaż dopatrzyć w nim nie mogli najmniejszych zdolności militarnych, chętnie wspierali go radą i często tolerowali niewczesne wybryki szlacheckiej samowoli, czyniąc ustępstwo jego wiekowi i doświadczonej odwadze.

Podczas bitwy grochowiskiej, Czachowski ze swoim pułkiem odkomenderowany na prawę skrzydło korpusu Langiewicza, oddalił się od głównych sił dyktatora tak dalece, że po skończonym boju droga połączenia się z Langiewiczem była mu przecięta przez Moskali, skutkiem czego uniemożliwionem też zostało ewentualne przejście jego z innemi oddziałami do Galicji.

Wysłany ze sztabu dyktatora za odszukaniem Czachowskiego kwatermistrz pułkownik Bohdan Bończa, znalazł się w takiem położeniu jak cały oddział, który miał doprowadzić, i nazajutrz po przejściu Langiewicza do Galicji, korzystając z zajęcia Moskali obserwujących przechodzące oddziały przez Wisłę, pomknął z oddziałem Czachowskiego w głąb kraju ku Brodom, a następnie dalej.

Klęska sprowadzona przejściem oddziału Langiewicza nie była zupełną i powstanie krakowsko-sandomierskie nie mogło być uważane za upadłe, gdy jeszcze pozostał oddział Czachowskiego, prowadzony ręką tak wytrawnego oficera regularnej armji jakim był Bończa (Błeszczyński, oficer artylerji moskiewskiej), który pozostał przy oddziale Czachowskiego w charakterze szefa sztabu.

Trafny wybór oficerów, uporządkowanie oddziału, prawdziwie partyzanckie manewrowanie w lasach iłżeckich i świętokrzyzkich, w których Czachowski nie potrzebował częstokroć żadnych przewodników, sam znając niemal każdą ścieżynkę, uniemożliwiało wszelkie zasadzki moskiewskie.

W ostatnich dniach Kwietnia przybyły oddział galicyjski Łopackiego, wzmocnił siły Czachowskiego. Czachowski mianowany tymczasowym naczelnikiem sił zbrojnych województwa sandomierskiego, zebrał oddziały Jankowskiego, Stamirowskiego, Łopackiego i swój w Piekle w powiecie opoczyńskim, a otrzymawszy wiadomość o nadchodzących Moskalach w sile 5 rot z Opoczna, przyjął bitwę pod Stefankowem, wprowadziwszy do boju część tylko zebranych sił, a mianowicie oddziału Łopackiego, którym rozbił Moskali i zmusił do bezładnej ucieczki. Oddział galicyjski utracił w tej bitwie swego ciężko rannego dowódzcę i przeszedł pod bezpośrednią komendę Czachowskiego.

Bończa już podówczas formował oddział na własną rękę, a szefostwo sztabu objął dzielny oficer z armji austrjackiej Władysław Eminowicz. Majorowie tacy jak Dolnicki i Kiciński z armji włoskiej i Witołd Rogujski ze sztabu inżynierji austrjackiej dowodzili batąljonami. Łuszczewski, oficer od dragonów moskiewskich organizował kawalerję Czachowskiego.

Kilkanaście szczęśliwych potyczek stoczonych z wojskami moskiewskiemi zjednało Czachowskiemu imię dobrego partyzanta. Nie wchodzimy tu w ocenienie, o ile to mniemanie było słusznem lub przesadzonem, dość, że do bitwy rzeczniowskiej Czachowski był postrachem Moskali, którzy z Kielc, Radomia, Staszowa, Opatowa i Opoczna nie nader ochotnie wybierali się na ekspedycję przeciw jego oddziałom, strasząc nawet kwiląće swe dzieci Czachowskim, jakby jakimś okrutnikiem. Popłoch ten rodziło dorażne postąpienie Czachowskiego z niewolnikami moskiewskiemi wziętemi pod Stefankowem.

Po porażce rzeczniowskiej w ostatnich dniach miesiąca Maja oddział Czachowskiego był w stanie tak opłakanym, że trudno było przypuszczać, iżby był w możności wytrzymać choćby najmniejszy atak moskiewski, i w rzeczy samej w połowie Czerwca po dwukrotnem spotkaniu się z Moskalami, Czachowski z Eminowiczem zmuszeni byli przybyć do Krakowa, powierzywszy organizację rozbitków Kicińskiemu.

Po przejściu do Galicji upłynęło cztery miesiące zanim Czachowski po wielkich przeszkodach ze strony jen. Jordana stawianych mu, przeszedł do Królestwa na czele oddziału I. Tarnowskiego, oddanego pod bezpośrednie rozkazy majora Liwocza.

Fałszywe wiadomości o zupełnem rozbrojeniu jenerała Waligórskiego spowodowały wymarsz Czachowskiego zamiast w Lubelskie w Sandomierskie wojew. W d. 20. Paźd. 1863 rano o god. 4. oddział jego przeszedł Wisłę, pod wsią Mitrowem, defilując na przestrzeni trzech mil z głębi Galicji przed frontem wojsk austrjackich, które drobnemi oddziałami usiłowały go okolić, by przeszkodzić jego wyjściu. Tegoż samego dnia po południu o godzinie 3ciej pod wsią Rybnicą wszedłszy w zasadzkę, przymuszony był przyjąć bitwę. Moskiewski oddział w godzinę był rozbity przez piechotę Czachowskiego, lecz podczas trwającej bitwy w lesie, Czachowski przywitany z boku rotowym ogniem mosk., oddalił się z kawalerją i sztabem od oddziału, i już więcej z nim połączyć się nie zdołał, a gdy nazajutrz zwycięzka piechota jego, po 8mio godzinnym zaciętem boju pod wsią Jurkowicami do szczętu prawie przez pięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela zniesioną została, Czachowskiemu nie pozostało nic innego jak ratować sztab i kawalerję, z którą się też udał w Lubelskie do Józefowa.

W pierwszych dniach Listopada powrócił z za Wisły, a przechodząc przez majątek swej córki Wierzchowiska, przystanął w jej domu na śniadanie, podczas którego zaskoczył go Asjew, rotmistrz moskiewski, wysłany nań umyślnie z ochotnikami przez jenerała Uszakowa z Radomia. Zniesione przez dragonów pikiety nie zdołały dać ognia, a kawalerja Czachowskiego stojąca na dziedzińcu dworku wierzchowiskiego ujrzawszy pędzących dragonów, dosiadła koni i pod dowództwem Prędowskiego Jana ratowała się haniebną ucieczką w kierunku Krępy, nie troszcząc się o zabezpieczenie osoby pułkownika. Rotmistrz Prędowski tłumaczył się wprawdzie pęknięciem łańcuszka od munsztuka, ale nie na tem miejscu powołani jesteśmy rozpoznawać prawdę takich tłumaczeń. Czachowski zdoławszy jeszcze dosiąść konia i dać strzał do dragonów nie zdołał jednak dopędzić dziarskiego szwadronu i w towarzystwie porucznika Józefa Męcińskiego i kilku pozostałych przy nim kawalerzystów zaskoczony przez Asjewa i piechurów Miedjanowa, zwalony przez nich z konia, rąbany był zapamiętale. Leżąc już na ziemi zdołał jeszcze raz strzelić do swoich oprawców. Żywego jeszcze włożyli Moskale na wóz, lecz uciecha ich nie długo trwała, gdyż ofiara wkrótce życie zakończyła. Przywieziono go do Radomia, a obwożąc po ulicach miasta urągali się Moskale nad publicznością tamtejszą i wskazując na zwłoki krzyczeli: Patrzcie, oto wasz król! Uszaków na usilne prośby mieszkańców wydał im zwłoki Czachowskiego i pozwolił pochować na smentarzu. *Cezar Goworowski.*

## Gospodarstwo i przemysł.

— **Przeciw użyciu szkodliwych farb**, których fabrykanci używają do swoich wyrobów, występują niemal wszystkie naukowe pisma. Między innemi „Hamb. GBl.“ pisze: Szczególniej zielone, żółte, czerwone i białe, tylko jako olejne używać się powinny. Ileżto dzieci na całe życie — wskutek bawienia się malowanemi zabawkami potraciło zdrowie; mało jest nazwać lekkomyślnością ze strony rodziców, a nikczemnością ze strony fabrykantów podobne lekceważenie życia ludzkiego. Wielka odpowiedzialność spada także na władze sanitarne, że takie zabawki dozwalają sprzedawać.

— **Zabezpieczenie kartofli od gnicia.** Skutecznym środkiem zapobiegającym gnici i kartofli, ma być niegaszone wapno, które przyciągając chciwie wszelką wilgoć, wyciąga niemniej zbytek wody z kartofli do gnicia usposobionych. Wsypując do dołu lub piwnicy kartofle, daje się pod spód lub pod wierzch, a nawet i we środek pomiędzy kartofle wapno niegaszone. Daje się ono w bryłach wielkości pięści, aby zaś do kartofli nie dochodziło, obkłada się chrustem, gałązkami drzew iglastych lub słomą, albo ustawia pomiędzy plecionkami. Wapno to od przyciąganej wilgoci zlasuje się, a po spotrzebowaniu kartofli może być użyte do wapnienia roli.

— **Terpentyna jest doskonałym środkiem do prania bielizny**, dodaje bowiem świetnej białości i nie psuje takową. W tym celu dodaje się olejek terpentynowy do wody, w której się po raz ostatni bielizna przepłukuje, i rozwodzi się należycie. To rozwiedzenie olejku uskutecznia się najlepiej w szklance wody, do której nalewa się jedną część terpentynowego olejku i trzy części mocnego spirytusu. Na jedno wiadro wody wystarczy jedna łyżka tej mieszaniny. Bielizny tym sposobem wypranej, nie czuć bynajmniej terpentyną, jeśli tylko była dobrze wykręconą.

— **Niemieckie Towarzystwo ochrony zwierząt** ogłasza w swoim organie przeciętne cyfry wieku, do jakiego zwierzęta dochodzą. Niedźwiedź rzadko przeżyje lat 20, pies i wilk żyje 20, lis 14—16 lat. Lwy żyją znacznie dłużej, lew w ogrodzie zoologicznym w Londynie liczył lat 70; wiewiórki i zające żyją 8, króliki 7 lat. Dowiedziono, że słonie dochodzą wieku 400 lat. — Gdy Aleksander Wielki zwyciężył indyjskiego króla Porusa, poświęcił jednego słonia, który dzielnie za tego króla walczył, i nazwał go Ajaksem i wypuścił na wolność, włożywszy nań stosowny napis. Znaleziono tegoż samego słonia w 350 lat później. Świnie żyją lat 20, nosorożec tylko 25, koń jeden żył lat 62, lecz przeciętny wiek koni wynosi 25 do 30 lat; krowy żyją także około 25 lat. Cuvier sądzi, że wieloryby mogą żyć do 1.000 lat; delfiny dochodzą tylko 30 lat. — W Wiedniu zdechł orzeł w 103 roku życia. Łabędzie żyją około 300 lat, a niejaki p. Mallerton, Anglik, posiada szkielet łabędzia, który żył 307 lat. Pelikany żyją 62, żółwie 100 lat.

— **Wyroby z kartofli.** Chemikowi Puscher w Norymberdze udało się kartofle jeszcze do jednego użytku zastosować. Po starannem obraniu kładą się kartofle w wodę zawierającą 8% kwasu siarczanego i w niej 14 do 36 godzin pozostają, poczem przez kilka dni płuczą się w coraz świeższej, celem oddalenia wszelkich resztek kwasu. Następnie suszą się w wolnem cieple, przyczem objętość swą o połowę blizko zmniejszają. Tak przyrządzone kartofle stają się nader białe, bardzo twarde, zupełnie do piany morskiej podobne i na wszelkie wyroby z łatwością zdatne.

— **Pasożyty pszczół.** Według wiadomości udzielonych przez Duchemin'a paryzkiej akademji umiejętności, pszczoła posiada bardzo niebezpiecznego nieprzyjaciela w drobniutkim, zaledwie przez mikroskop dojrzanem zwierzątku, z rodzaju kleszcza, który wsysając się w takową, zabija. Sprawozdawca przez długie i gruntowne doświadczenie nabył przekonanie, iż kleszcz ten wylęga się na słoneczniku. Sąsiedztwo więc tej rośliny może być bardzo zgubne dla pasieki.

— **Najpraktyczniejszy sposób konserwowania płotów.** Od 1860 do 1864 roku wydałem, mając maleńkie gospodarstwo, około tysiąca złotych na płoty, które rok rocznie z początkiem zimy były rozbierane przez kochanych sąsiadów. Zniecierpliwiony, uciekłem się do zabezpieczenia ich sposobem bardzo praktycznym: ponieważ głównie stawiam płoty z żerdzi łupanych, w tych więc żerdziach w bardzo wielu miejscach nb. bez świadków powierciłem dziurki głębokie na 4 cale i zaraz w każdą nasypawszy pół naparstka prochu, zabiłem kołeczkiem w kierunku idących słoi drzewnych, a po ich przycięciu do równości i śladu mojego wiercenia nie było widać. Rezultat z tego był taki: Pewnego pięknego zimowego poranku, przychodzi do mnie jak zwykle z rana włódarz po dyspozycję i z miną tajemniczą oświadcza, iż u sąsiada mojego Walentego Rataja przeszłej nocy był djabeł, gdyż mu cały piec z poustawianemi na temże miskami i garnkami do fundamentu rozwalił. Wtedy wytłumaczyłem mu, że to nie djabeł ale płot mój wypłatał mu tego figla, gdyż już dwóch żerdzi brakowało. Od tej chwili płoty moje stoją bezpieczne, a sąsiedzi ograniczają się tylko na ich oglądaniu. *W.*

## Pogadanki tygodniowe.

Wieczór piękny był... Niebo iskrzyło się gwiazdami... Wiatr silny ustał i zaledwie czasem wionąwszy od zachodu, zrywał z drzew pożółkłe liście i słał je pod stopy tysiąca przechodniów... Przyroda cała jakby pod ciężkiem wspomnieniem boleści, umilkła... a miasto grobów, pokryło się niezliczonemi światłami... Pobożni pielgrzymi ciągnęli długą, nieskończoną wstęgą na miejsce spoczynku krewnych i drogich im osób, i tylko monotonny śpiew rozgoszczonych po drodze żebraków i ciągły łomot pędzących i wymijających się dorożkarzy, przerywał uroczystą ciszę wieczoru w dzień zaduszny...

Nie wiem czy jest gdzie w Polsce drugi smętarz, tak powabną, a uroczystą przybierający postać, jak nasz łyczakowski, podczas tego pamiątkowego obchodu... Rozrzucone wśród drzew i krzewów wspaniałe pomniki, rzędy coraz wyżej piętrzących się pagórków, jaśniejących tysiącami migających i różnobarwnych płomyków, tu i ówdzie w mgle wieczornej u grobów rysujące się postacie... wszystko to tworzy obraz tak smętno-uroczy, tak silnie działający na nasze serce i wyobraźnię naszą, iż mimowoli zda nam się być przeniesionymi w jakiś cudowny, wymarzony świat duchów i jakaś duszność niewytłumaczona piersi nam przygniata i ogarnia nas jakaś tajemna tęsknota, za czemś wyższem, niepojętem... A stanąwszy pod owym krzyżem dębowym, błagalnie ku niebu wyciągającym swoje ramiona... ileż to myśli tłoczy nam się do skroni!... Jak bolesne wspomnienia rozrywają piersi... i nadziei tyle... i zwątpień tyle... i tyle cierpień przebyłych... i tyle doznanych zawodów...

I wielu, wielu przypomina nam ten prosty, olbrzymi krzyż dębowy, ręką pobożną w światła o krwawej barwie przybrany... Myśl nasza przebiega owe lasy na północy niedawno tak gwarne, i te niwy krwią serdeczną zbryzgane... i dalej... dalej ku północy odwieczne śniegi Sybiru.

Cześć pamięci męczenników!...

Jedyną dyssonancją w ogólnej harmonii, traciły wybryki dość licznego grona młodych ludzi, którzy na kilku fiakrach rozparłszy się wygodnie, niemal z wyłożonymi nogami na karki numerowanych Charonów, z głośnymi śmiechami i hałaśliwą wesołością, rozbijali pobożne tłumy przechodniów. Mylą się ci panowie, sądząc, iż obecnością swą mimo wybrednej toalety i francuzkich wykrzykników, przyczynili się do podniesienia uroczystości smutnego obchodu pamięci zmarłych.

Podobna pielgrzymka jak w dzień zaduszny, odbywa się, choć oczywiście w mikroskopicznych rozmiarach, do zakładu fotograficznego pana Edera, na tak zwaną wystawę paryzką. Przedstawia ona w nader udatnych stereoskopach, ową wsławioną wystawę. Liczba pojedynczych numerów przechodzi 1,000. Lwowianie nie mogący zwiedzić wystawy na miejscu, a chcący mieć dokładniejsze wyobrażenie jak z opisów dziennikarskich, nie powinni opuszczać tej sposobności, a to tem bardziej, gdy stereoskopy rzeczywiście z zagranicznymi walczyć mogą o pierwszeństwo. Publiczność nasza, tak licznie przed kilku tygodniami odwiedzająca budę ze stereoskopami podejrzanej moralności jakiegoś Prusaka na placu Gołuchowskich tem silniej zapewne poprze usiłowania rodaka-fotografa, na zupełne zasługującego uznanie.

Już to przyznać należy, że ruch umysłowy wzmaga się niezaprzeczenie w nadpełtwiańskiej naszej stolicy. Nowo zawiązane Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, porozumiawszy się z krakowskiem, daje popęd niemały do podniesienia i spotęgowania ruchu artystycznego. Ciągle świeżo powstające pisma czasowe, podniecają nawzajem ruch literacki, a choć zarazem świadczą wymownie o rozstrzeleniu sił pracujących na polu piśmiennictwa, nie mogą jednak w swych skutkach jak tylko pożyteczne dla kraju przynieść owoce.

W ogóle krzątanie się i współzawodnictwo na wielką rozpoczęło się skalę. Czyli tylko kraina nasza odpowie pokładanym w niej nadziejom i przyczyni się do utrzymania pism nowopowstałych, gdyż wiele, bardzo wiele nam potrzeba, aby wypełnić obowiązki, ciężące na nas w obec naszych współbraci...

„Nowiny“ — „Strzecha“ — „Tygodnik Lwowski“ — „Pomoc“ — „Szkoła“ — „Rolnik“ — oto nowe pojawy ruchu literackiego we Lwowie. Równocześnie prawie rozpoczynają, lub wkrótce rozpoczną byt swój te owoce usiłowań różnostronnych, w celu podniesienia życia umysłowego w Galicji. Jeśli zwrócimy uwagę naszą na ilość i dobór rywalizujących ze sobą nawzajem czasopism w Warszawie, gdzie jak grzyby po deszczu, pojawiają się dzienniki, tygodniki i t. p. z uwielbienia godną wytrwałością wobec cenzury moskiewskiej i powszechnego ucisku, wtedy podziw Lwowian nad rozmnożeniem się wśród nich pism perjodycznych literackich, zredukować się musi do dość umiarkowanych rozmiarów; uderza wszelako nie mało ta okoliczność, iż dzieje to się we Lwowie, znanym z obojętności swej do przedsiębiorstw tego rodzaju, we Lwowie powtarzam, utrzymującym dotychczas zaledwie po kilka pism czasowych...

Wliczywszy gazety polityczne, ludowy „Dzwonek,“ budzącą się z dłuższego spoczynku „Bibliotekę Ossolińskich“ i t. d., okaże się liczba zwyż dwunastu pism czasowych we Lwowie...

*Horrendum!* Spokojni Lwowianie, przenoszący wszelki ruch, szczególnie giełdowy i kupiecki nad ruch umysłowy, którzy myśląc drzemali, chodząc spali, a spiąc i drzymiąc, nie zadawali sobie tyle nawet pracy, aby śnić o czem kolwiek, naraz wystraszeni z błogiego swego spokoju groźną dwunastką prenumeracyjnych blankietów! O! Iluż to wśród nas, zamiast ogłoszeń o nowo pojawiających się pismach, wolało by ujrzeć po rogach ulic anonse tego rodzaju, jak: „Syn szatana,“ opero-komedjo-dramat w siedmiu aktach i dwudziestu oddziałach z prologiem p. t. „Trzej Czerwoni“ i epilogiem p. t. „Topór katowski,“ a wszystko to w ogniu bengalskim i z żywymi obrazami — albo: „Fräulein Gallmeyer als Gast“ i konieczny przy tem „Cancan“ — albo przynajmniej: „Świeży kawior... Pasztet sztrasburgski... Ser ementalski... i t. p.!... Iluż to... Lecz lepiej, dajmy temu spokój... Nikogo gołem słowem nie zreformujemy, ani jednego czytelnika więcej dla żadnego z wyżwymienionych pism nie zaciągniemy, a narazimy się może na przytyk niemiły: A tobie co do tego?...

— A tobie co do tego?... — otóż i urwała nam się nić Arjadny w labiryncie kronikarskich kłopotów; my jednak, oswojeni z podobnymi przypadkami, wiążemy ją na prędce *coute-que-coute* w węzełek choć nie nader sztuczny, ale zawsze węzełek i zaczynając od niego, napomkniemy nie o węźle z konopi, jaki co dzień ukazywać się musi we śnie pewnemu korespondentowi do pism moskiewskich, widzącemu dziś jeszcze (!!) w każdym co najmniej żandarma wieszającego — ani o węzełku, nad którego pomysłem przy nowomodnem wiązaniu krawatek, wysilić się musiał jeniusz paryskich l i o n' ó w — ale o węźle gordyjskim, zawiązanym tutejszej dyrekcji teatru niemieckiego przez l o s y  z a w i s t n e, który rozcięty być może raz na zawsze po aleksandryjsku...

Dyrekcja teatru niemieckiego mimo subwencji ze szkodą fundacji drohowyzkiej, ciągle jeszcze jej wypłacanej, na nader słabych stoi nogach. Possy, opery i operetki, kankany i Gallmajerki, nie mogą jej wybawić z finansowych kłopotów; nieporozumienia między p. Blumem a artystami jego, rosnąć mają z każdym dniem, a to tem bardziej, iż ci ostatni zawierali kontrakty z nim, a nie z kim innym, aż tu nagle p Blum miał im oświadczyć, iż nie on sam jest samowładnym dyrektorem, ale że nim jest całe grono spekulantów wyznania mojżeszowego, z których każdy ma swój głos i swoją władzę dyktatorską. Spekulacje jednak podobnego rodzaju nie tylko, że poniżają i tak już nisko stojącą scenę niemiecką, ale nawet paragrafy statutów skarbkowskich wręcz się im sprzeciwiają. Słuszną zatem uwagę robi „Gazeta Narodowa,“ podnosząc ten fakt do należnego znaczenia i dodając, że właśnie byłaby chwila zerwania kontraktu, złamanego przez niemiecką dyrekcję. Nie wątpimy, że gdyby nadto odmówiono dalszej subwencji scenie niemieckiej, wówczas nie znalazłby się żaden przedsiębiorca, w zamiarze objęcia finansowo nader niebezpiecznej dyrekcji. Scena niemiecka musiałaby zostać zwiniętą, jak to się stało w Krakowie. A cóżby się stało z artystami i artystkami, zapyta może który z malkotentów podejrzanej barwy?...

Mój Boże... Germania tak jest wielką!...

Co do polskiej sceny, repertoar tego tygodnia uwalnia nas od mozołu pisania o tem, o czem lepiej zamilczeć... *A. U.*



**Agitacje przedwyborcze w Galicji wschodniej.**

## Elegia na upadek teatru niemieckiego
### w Krakowie.

Nieutulony z żalu po utracie ulubionej sceny, byłemu jej dyrektorowi poświęca
*Autor.*

Płaczcie o Niemcy, płaczcież wszyscy razem,
Bo waszej muzy zamknięto świątynię;
Jakże nie płakać, trzebaby być głazem,
Gdy szwabski żywioł coraz bardziej ginie.

Dawniej za czasów ojca Metternicha,
Musiano Niemcom teatra budować,
Aby się rzesza beamterów cicha,
Mogła po pracy w swych „possach" lubować.

Polak z początku wyprawiał brewerje,
Zżymał się, nieba o pomstę wyzywał,
Lecz z czasem zmiękł i w teatrze bywał,
Kiedy dawano *„lekką kawalerję,"*
A nawet takie bywały wypadki,
Że za *„Heleną"* przepadał Lach gładki.

I gdyby nie te dziennikarskie krzyki,
Co narodowi wciąż prawią morały,
Nie owe *„Pszonki"* — *„Bąki"* — *„Tygodniki,"*
Teatr niemiecki stałby dotąd cały.

A zatem płaczcież wszyscy Niemcy razem,
Bo waszej muzy zamknięto świątynię,
Jakże nie płakać?! Trzebaby być głazem,
Gdy szwabski żywioł coraz bardziej ginie.

## Wiadomości bibliograficzne.

Znany zaszczytnie w świecie literackim autor komedji pod tyt.: *Delegacja polska*, czyli *Żydek na sejmiku* w swoim *Czasie* należycie ocenionej — wydał obecnie nowy utwór dramatyczny, p. t. *Jeremiady Michla galicyjskiego*, czyli *Obrona delegacji polskiej*, albo inaczej *Niewinność uciśniona* czyli *Hrabia* w *worku.*

**Przyp. red. i ostrzeżenie.** Ponieważ niektórzy autorowie i wydawcy, a w tej liczbie i JW. autor wyż rzeczonych dzieł, nie złożyli dotąd w naszej redakcji obowiązkowych egzemplarzy swoich utworów, przeto zmuszeni jesteśmy zwrócić ich uwagę, że sami sobie winę przypiszą, jeśli przez to zaniedbanie narażą się na umieszczenie recenzji naszem piórem skreślonej. *Pszonka.*

## Poradnik gospodarczy.

Sposób na wywabianie plam. Jeżeli przez lekkomyślność — złą wolę lub serwilizm *splami się czasem godność narodową* — należy splamione miejsca wyprać *w soli propinacyjnej*, a następnie rozwiesić *na bulwarach paryzkich* kilka kontuszów, które użyte do zapchania dziur w *polityce* pewnego ministra spraw zagranicznych — wywabiają plamy — bez użycia *kociej muzyki*, lub t. p. nielojalnych środków.

### Metamorfozy.

Gdzie niegdyś ty ukochana
W tym domku dzisiaj szewc mieszka,
Ulica brukiem wysłana,
Gdzie dawniej kwiecista ścieżka.

Gdzie nas w niewinnych pieszczotach,
Surowy papa przepłoszył,
Dziś gęsi siedzą na płotach,
Które pies gończy zmotłoszył.

I gdzie bywało tak świeżo,
Gdzie wzrok twój i uśmiech świta,
Podeszwy i skóry leżą,
I stare wiszą kopyta.

I z tobą zmiany podobne,
Sprawił ząb czasu zatruty,
Lica twe niegdyś nadobne
Zwiędły jak skórka na buty.

## SPIS PRZEDMIOTÓW:



J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.